

Jan Maciejewski: Pryma. W jaskini Cyklopa

To już piąta część cyklu „Godziny”. Autor – Jan Maciejewski – przechodzi z Odysem przez kolejne godziny Świętego Oficjum, od jutrzni do komplety. „Osiem przygód będących modlitwą, albo raczej osiem modlitw stających się przygodami. Ten sam obowiązek i namiętność – powrócić, skąd mnie wygnano i odzyskać, co utraciłem” – wyjaśnia swój zamysł.

Nie wiemy jak długo tam siedział, ale możemy sobie wyobrazić jak wiele zapachów, dźwięków, szturchnięć i potrażeń musiało go codziennie spotykać. Wystarczy usiąść na kilka godzin na środku chodnika na Nowym Świecie w Warszawie, Piotrkowskiej w Łodzi, Grodzkiej w Krakowie czy Stawowej w Katowicach. Usiąść i zamknąć oczy – tak, jak robią małe dzieci, kiedy coś przeszkobią i usiłują się ukryć przed całym światem. On też musiał mieć coś na sumieniu, skoro był ślepy. Starożytność lubiła konsekwentnie podchodzić do sprawy – ułomność ciała musiała być wynikiem jakiegoś występku, grzechu jego lub kogoś z krewnych. Bilans musiał się zgadzać. Nie potrafił jeszcze wtedy dopatrzeć się łaski w braku, dopatrzeć się światła w ciemności.

Bartymeusz był więc nie tylko niewidomym żebrakiem, ale i społecznym wyrzutkiem. Siedział na drodze prowadzącej do Jerycha i już nawet nie czekał. Trzymał się życia chyba tylko z przyzwyczajenia, wyciągał rękę po jałmużnę bez wstydu ani nadziei; po prostu, robił to tak bezwiednie jakby obcierał pot z czoła. Mijały go karawany i żołnierze, prostytutki i faryzeusze. Jeśli ktoś

jeszcze rzucił na niego choćby przelotne spojrzenie, to już chyba tylko dzieci – ich i jego twarze pozostawały na podobnej wysokości. Dla dorosłych był już tylko nierównością terenu.

Wszystkie teksty Jana Maciejewskiego dla Teologii Politycznej

Najważniejsze pytanie tej historii - takie na które warto szukać odpowiedzi będąc absolutnie pewnym, że może być tysiące różnych – brzmi: po czym Go poznał? Nie podnosił głosu już całe lata, a tu nagle, ni z tego ni z owego na całą szerokość drogi wydziera się: „Jezusie, synu Dawida, ulituj się nade mną!”. Mógł usłyszeć jakiś strzępek rozmowy, powtarzające się, rozbrzmiewające stopniowo coraz wyraźniej, jak odgłosy nadchodzącej latem burzy imię. Ale to tylko imię, za mało dla pewności, za mało by krzyczeć. Brak wzroku musiał wyostrzyć pozostałe zmysły. Dlaczego więc miał Chrystusa nie poczuć albo nie wywąchać? To ważne pytanie, tym bardziej im mniej poważnie wygląda. Czy stawiał On kroki w jakiś sobie tylko właściwy sposób – tak, że rezonowały jak mikroskopijne trzęsienia ziemi, niezauważalne dla tych, którzy szli obok Niego lub za Nim. Ale dla kogoś kto siedział nieruchomo od wielu lat i nie miał do roboty nic poza odbieraniem bodźców z zewnątrz to mogło zabrzmieć jak syrena alarmowa (albo – nie przymierzając – trąba jerychońska): „Oto jest, oto nadchodzi!”.

A jeśli zapach, to musiał być któryś z tych doskonale Bartymeuszowi znanych - cedru, pinii albo eukaliptusa – zagłuszanych na co dzień przez smród spoconych ciał i tracących w mgnieniu oka świeżość ryb. Znanych, ale innych w swej intensywności, pierwszych i przełomowych, tak jak pierwszy prawdziwy pocałunek różni się od buziaków dawanych przez ciocię i babcię. Niby podobne, ale wreszcie prawdziwe, wreszcie na serio. Najbardziej podoba mi się przypuszczenie, że Pan nasz Jezus Chrystus pachniał tamaryszkiem. Różowawo-białym, mgławicowym, jakby miód zmieniał się w niewidzialny

obłok. Taki, co ukazuje się jedynie niewidomym. I jak pszczoły całymi rojami garną się do kwitnącego tamaryszku, tak Bartymeusz krzyczał do przechodzącego Jezusa. „Panie, spraw żebym przejrzał”.

I od tamtej pory ten jego okrzyk Kościół powtarza każdego ranka. Pryma to pierwszy moment czujności, nieufności do samego siebie. Pierwsza godzina, Jutrznia, była jeszcze nocna, wypełniona oczekiwaniem na nadejście, czujnością wobec Tego, który ma się pojawić. Druga, Laudesy, pieśnią zachwytu, porannym okrzykiem na cześć tego wszystkiego, co On stworzył. Pryma to pierwszy krok naszej drogi. Tej, po której idziemy jak pozbawieni wzroku. Albo jeszcze gorzej – oglądając omamy, wpatrując się w przywidzenia zamiast prawdziwych kształtów i kolorów. I dlatego co rano, co każdą Prymę, Kościół wznosi okrzyk ślepego Bartymeusza: „Chrystusie, synu Boga żywego, zmiłuj się nad nami”. Ta godzina prosi o wzrok, musi się więc przyznać do ślepoty. Do tego, że prawie wszystko jej się wydaje, a tak niewiele wie na pewno. Miał rację Chesterton pisząc, iż najbardziej prawdopodobne jest, że wciąż żyjemy w Raju. To tylko nasze oczy się zmieniły. A wraz z nimi nosy, uszy, podniebienia.

Weźmy choćby ten pierwszy z brzegu zapach. Ten, o którego istnieniu zdałem sobie sprawę dopiero w tej chwili. Dlaczego on też nie miałby być zapowiedzią czegoś wielkiego, a dotąd przegapianego. Zakopanego w ziemi jak talent przez najgorszego ze sług. Zapachy w ogóle nadają się na proroctwa dużo lepiej od słów. Raz wypuszczone na wolność nie mogą już zostać zatrzymane, zagonione z powrotem do kielicha kwiatu albo flakonu perfum. Jediną barierą, jaka może zostać przed nimi ustawiona, jest obojętność. To, że nikt się nimi nie zachwyci, nie odwróci głowy w poszukiwaniu źródła zapachu - kobiety, kwiatu, Zbawiciela. Nie ruszy jego śladem. Przejdzie obojętnie, znieczulony codziennością jak wodą kolońską, otoczony własną aurą jak kokonem, „wwąchany” w samego siebie.

Pryma wydaje mi się nie tylko porannym przebudzeniem sumienia, ale też i zmysłów. „Uważaj, abyś dzisiaj nie zgrzeszył” na równi z „bądź czujny, byś niczego nie przegapił”. Bo jeśli wokół Chrystusa unosił się zapach tamaryszku, to znaczy, że jakiś fragment Dobrej Nowiny w nim także został zapisany. A jeśli w nim, to czemu i nie wszędzie dookoła, dlaczego świat nie miałby być wypełniony po brzegi tropami czekającymi tylko na to, aż ktoś je podejmie? Czy ostatecznie nie to właśnie odkrył święty Franciszek, kiedy przytulał kamienie i błogosławił padający na niego deszcz? Prośba o wzrok jest tak naprawdę błaganiem o odzyskanie zmysłów, o odetkanie nosa, przywrócenie słuchu i czucia w rękach. O to by móc wreszcie robić z nich właściwy użytek. By się zaniepokoić nieuświadomionym dotąd brakiem. I zacząć szukać, węszyć, pragnąć. Pokochać to pragnienie z całej mocy jego nieosiągalności. Na szczytach wszystkich gór Karmel, u świtu ciemnych nocy jest to samo odkrycie każdego z mistyków. Szczytem rozwoju duchowego, najwyższą osiągalną na tym świecie rozkoszą, jest usychanie z tęsknoty. Tak jak najpiękniejszą chwilą każdej miłości jest ta na moment przed pierwszym, przypadkowym (lub za takie próbującym uchodzić) dotykaniem. Ale żeby tak strasznie pragnąć trzeba najpierw odkryć w sobie pustkę, jakieś miejsce, które oczekuje na to, by je zamieszkać. Pewien konkretny brak, ślepotę, otumanienie. Coś, co trzeba uleczyć, zapełnić, zanim wyruszy się w podróż. O to prosi Pryma.

Godzina, o której Odyseusz wydostał się z jaskini Cyklopa. Ruszył w dalszą drogę, bo na pytanie jednookiego wyznał swe prawdziwe imię – „Nikt”. Wydawało mu się, że to podstęp, że skłamał, ale z fortelami jest podobnie jak z żartami czy zmyślnymi anegdotami – są tym lepsze im bliżej faktów je ustawiono. Ruszyć w drogę, wydostać się z pułapki można tylko wtedy, gdy uzna się lub chociaż poda, za „Nikogo”. To jedyny sposób, by wydostać się z jaskini, w której panuje ciemność i zaduch, gdzie nie czeka na nas nic poza

śmiercią. Tylko „Nikt” mógł z powrotem dostać się na zewnątrz, dotrzeć do barw, dźwięków i zapachów. I odpłynąć, żegnany przekleństwami ślepego Cyklopa.

Piotr Skwieciński „Putinizm ewoluował” (wywiad)

Myślałem, że to minie; początkowo wszyscy tak mówili. Od jakiegoś czasu już tylko milkną na mój widok.

Podobno tak jest zawsze na początku, ale u mnie ten początek nie ma końca. Nauczyłem się chodzić, jeść, spać i rozmawiać w rytm kołysania, ale nie mogę przestać go nienawidzić. I tęsknić za stałym lądem, twardą, nieruchomą ziemią pod stopami. Nie wymiotuję, nigdy mi się to nie zdarzyło. Zamiast tego, od pierwszej chwili na statku – nawet wcześniej, kiedy tylko zobaczę go kołyszącego się u brzegu – czuję zamroczenie, jak po pierwszym w życiu, wypitym kubku wina. Żołądek i głowa jeszcze nie wiedzą, że mogą, powinny przywitać tego nowego przybysza z radością. Jak zapowiedź czegoś niezrozumiałego, obietnica lądów, na które nie można dotrzeć inną drogą. Mój organizm buntuje się przeciwko morzu po cichu i cierpliwie. Nie wrzeszczy mi do ucha, powtarza tylko cicho i monotonicznie, że nie powinno mnie tu być. To nie moje miejsce, nie moja przygoda. Ona należy do niego, wyłącznie; nikt inny nie ma do niej prawa. Od dwóch dni wreszcie to rozumiem. Dzięki temu mogę już nie tęsknić, nie stać na przodzie łodzi, nie popędzam innych. Siedzę spokojny, cierpliwy. Nie wypatruję. Już tylko czekam.

To już dwa dni, jak się stamtąd wydostaliśmy, a oni wciąż chcą go słuchać. Otaczają go ciasno, kiedy gestykuluje omal nie wybija im oczu, ale boją się, że mogą przegapić jakiś szczegół, coś ich ominie, więc nie cofną się ani kroku. Głupi ślepcy. Nie rozumieją, że słuchają własnej zguby; że ich los też dopełnił się w tej jaskini, u jej wyjścia. Uciekliśmy tylko na chwilę. Wcześniej czy później zostaniemy zrzuceni z pokładu, jak zbędny balast. On dotrze do domu, tylko on. Niczego ani nikogo ze sobą nie przywiezie. Wróci jak ten, za którego podał się przed cyklopem. Nikt.

Wydaje mu się, on też tego nie rozumie, że przechytrzył bestię. Gdy tak naprawdę zaciągnął tylko dług. Nie można bezkarnie oszukiwać dzieci bogów. Tym bardziej kpić sobie z nich, odpowiadać ludzkim śmiechem na ich zawodzenie i wściekłe ryki. Tego drugiego już nie słyszę, to pierwsze, zadowolony z siebie, gardłowy ryk kołacze mi się w głowie. Gdyby nie był królem uciszyłbym go albo zepchnął do morza. Nie mogę patrzeć jak jego przechwałki napawają serca moich towarzyszy otuchą. To takie żalosne. Myślą, że jeśli ich wódz jest sprytny to nic im nie grozi. Że schowają się pod jego fortelami jak we wnętrzu konia pod Troją. Doprowadzi ich do domu, jak poprowadził do zwycięstwa. Trzeba nigdy nie zakosztować morza, nie dać się ukołysać jego obietnicom i pokusom, pozostać trzeźwym i niespokojnym, żeby przejrzeć grę, jaką prowadzi z bogami. My jesteśmy pionkami, które poświęcać będą obie strony. Będzie nas strącał i oplakiwał, ale patrząc przed siebie. Za nami nikt się nie obejrzy, nikt nawet nie zapyta.

Błogosławię teraz moją chorobę; to, że unikają mnie jak zakażonego, jak gdyby moją słabością można się było zarazić. Przynajmniej nie pytają, dlaczego nie chcę „przeżyć tego jeszcze raz”, usłyszeć wszystkich tych kolorowych porównań, opisów pęknięcia kręgosłupów moich przyjaciół, wysysania ich szpiku, chrzęstu gigantycznych zuchw przeżuujących ich

ciała. Chwili triumfu, słodkiej, skwierczącej zemsty, gdy obracający się w oku cyklopa drąg wypalał jego jedyne oko. Tego jak oślepialiśmy naszego prześladowcę, zyskiwaliśmy nad nim przewagę, nie tylko uciekliśmy, ale zdążyliśmy wymierzyć cyklopowi karę. Skazaliśmy go na życie w ciemnościach, pozostawiliśmy za sobą jak klątwę, jak podpis Odyseusza – „tu byłem”. On tak uwielbia się zakradać i wymykać. Przeciskać przez coraz ciaśniejsze szczeliny. A im bliżej klęski – a tę oznaczać będzie tylko jego śmierć, tylko on tu się liczy – tym większy jego triumf, kiedy jednak się uda.

Nie mogę na niego patrzeć. Na to jak napawa się własną opowieścią, jak jest nią uwznioślony, przeżywa ją bardziej niż kiedy wydarzała się naprawdę. Założę się, że nie my jedni jej wysłuchamy. Oko cyklopa, brzuchy owiec pod którymi wykradaliśmy się ze środka – to wszystko jest przecież lepsze niż drewniany koń pod Troją. On musi ryzykować, jest hazardzistą, który nie spocznie, nie poczuje spełnienia, nie stanie się do końca sobą aż nie przegra ostatniego grosza. A to my jesteśmy jego żetonami, jego majątkiem, który roztrwoni. Będzie rzucał kośćmi tak długo, aż nie przegra każdego z nas. Aż naprawdę nie stanie się Nikim. Jak to możliwe, że tylko ja jestem na tyle trzeźwy, że to widzę.

Za chwilę znowu zacznę pisać, teraz za bardzo kręci mi się w głowie.

Jest noc, kolejna taka, podczas której tylko ja czuwam. Jest łatwiej, łódź już się tak nie kołysze. Rozmowy nie drażnią moich uszu, zapachy – nosa. Nareszcie można pomyśleć spokojnie. Daję moim myślom uleżeć się w głowie, jak ciężkiemu, tłustemu posiłkowi w żołądku. Czekam aż się wchłoną, przenikną do krwi, pokrzepią ciało. Przestaną być gościem, pokusą, a zostaną postanowieniem, gospodarzem. Częścią mnie, jak nos i oczy.

To nie jest wcale takie trudne, a więc dlaczego dotąd na to nie wpadłem? Łą, stały grunt pod nogami. I wreszcie wolność, życie bez cienia Odysa nade mną – tej ciemności, która w końcu, w tym czy innym niebezpieczeństwie, zakryje mnie i pochłonie. Wszystko czego pragnę może się spełnić, wszystko, co napędza mnie lękiem i wstrętem – skończy się. Nocą nikt nie usłyszy, że odpinam szalupę i odpływam. A nawet jeśli – założę się, że zareagują na moje zniknięcie z ulgą. Staliśmy się sobie obcy. Od powrotu z jaskini cyklopa bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. A więc czemu jeszcze tego nie zrobiłem? Czyżby ze strachu? Nie, nie boję się. Ktoś, kto pożegnał się już z życiem tyle razy, uniknął o włos zjedzenia przez cyklopa, nie boi się śmierci z głodu i pragnienia. Coś mnie powstrzymuje, ale nie potrafię tego nazwać.

A jeśli czegoś nie umiem nazwać, to tak jakby nie istniało.

To dzisiaj.

Jan Maciejewski „Nona: U Eumajosa” – opowiadanie ze zbioru „Już pora”

Nie wiem, dlaczego po tylu latach zacząłem znów czytać te skrawki papieru. Może teraz nareszcie mogę, minęło wystarczająco dużo czasu, by spojrzeć na nie jak zapisane przez kogoś innego. Nie znam tamtego człowieka. Nie wiem, od tylu lat moja stopa nie stanęła na pokładzie żadnego okrętu, że nie pamiętam już co miał na myśli pisząc o rozstrajającym nerwy kołysaniu, uczuciu jak po pierwszym zamroczeniu winem. Teraz piję je regularnie, niektórzy twierdzą, że nawet za dużo. Ale nie mają racji.

Po co ten dopisek, post scriptum pod cudzym listem? Nawet charakter pisma nie jest już ten sam. Tamten był nerwowy, wbrew temu co sam o sobie twierdził – niecierpliwy. Moje litery donikąd się nie spieszą, nie wypatrują już ładu, nie uciekają przed cyklopami, nie nienawidzą swoich towarzyszy podróży. Nie wierzę, że charakter pisma zależy od charakteru człowieka, to bujda, przesada. Raczej od świata, którym się otoczył, jakie miejsce sobie w nim wybrał. Charakter jest wtórny. Tak, dobrze jest myśleć o takich rzeczach siedząc w cieniu winogron, z kubkiem wina, szumem morza – dalekim, cichym, dyskretnym jak wspomnienie. Dobrze jest stawiać litery przepojone tą chwilą.

Ale dlaczego ten dopisek? Chętniej spaliłbym tamto wspomnienie, dopełnił jego unieważnienia – taka okazja, jedyna nić łącząca mnie z tamtym życiem to wyschnięty papier, który aż prosi się by cisnąć go w płomienie. A ja z niej nie korzystam. Waham się, tak samo jak przed ucieczką. Bo znam już odpowiedź na jedyną z tamtych wątpliwości. Wiem co to za słowo, które wtedy tylko przeczuwałem. Jest we mnie, ale obce. Nie potrafię go strawić, ukryć się przed nim też nie mogę. Te strony to jedyna miejsce, do którego można je wyrzucić, pozbyć się go raz na zawsze.

Bo im bardziej zapominam, im mniej łączy mnie z tamtym życiem, tym bardziej tęsknię. To słowo – którego nie potrafiłem namierzyć na pokładzie, u boku Odysusza – to „Tęsknota”. A nie potrafiłem go odnaleźć, bo nie miało adresata, odniesienia. Czy było tylko przecuciem, a może prorocstwem? Jak „Nikt” Odysa? Wiem, że tęskniłem, wiem, że teraz też tęsknię, ale nie potrafię powiedzieć do czego. Teraz jest łatwiej, bo wiem już, że zagadka pozostanie bez rozwiązania. To miejsce (ale to nie musi być miejsce, to może być

wszystko – od zapachu, człowieka, sam już nie wiem) nie zostanie przeze mnie odkryte. Jestem już stary. Jedyne co zostało mi do zrobienia, to zapomnieć słowo. Wyrzec się go. Zapisać. A więc piszę: Tęsknię.

Jan Maciejewski

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
